

Jadwiga Sudnik  
Os. Przyjacieli 22m33  
61-688 Poznan.

II/1824/7

Repatriacja (44-56v)

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Jadwiga Sudnik ur. 1914r. w Korzeniewszczyźnie koło Klecka pow. Nieśwież

W okresie międzywojennym mieliśmy gospodarstwo rolne 25 ha, 4 ha łąk i 1,5 ha sadu. Budynki choceaż drewniane były bardzo obszerne i bardzo dobrym stanie. Wokół posesji rosły ponad stuletnie topole i lipy widoczne z odległości kilku kilometrów. Ze względu na okazały wygląd gospodarstwa na mapach wojskowych było zaznaczone jako folwark. Dom składał się z 4 dużych pokoi, obok była dobudowana kuchnia, spiżarnia, siód, piwnice i warsztat gdzie dokonywano wszelkich napraw gospodarskich. Ziemia była bardzo dobra, plony mieliśmy doskonałe, toteż dużo zboża sprzedawaliśmy. Z okien rozciągał się piękny widok. Na stoku wznosiły się okazałe zabudowania naszego sąsiada, na tle wiekowych drzew. Dalej wzgórze porośnięte kępami zagajników. Na lewo kompleks łąk z rzeczką pośrodku, za rzeką w wianku zieleni wieś Bałwań i na wzgórzu samotna strażnica KOP-u. Wisną gdy woda zalała łąki, tworzyło się olbrzymie jezioro nad którym chmurami unosiły się piskliwe czajki. Gdy woda opadła łąki pokrywały się kwiecistą bujną roślinnością.

W 1920 roku ojciec został aresztowany przez bolszewików, siedział w więzieniu w Mińsku. W czasie odwrotu wrócił do domu, ale już chory na tyfus i wkrótce zmarł. Czwooro rodzeństwa uczyło się w Nieświeżu - gdyż innych szkół nie było. Warunki materialne po wojnie były bardzo ciężkie toteż jeden brat przerwał naukę po czterech klasach gimnazjum i został gospodarzem. Od tego czasu nie musieliśmy zatrudniać parobka. Pracowała tylko służąca, która była u nas aż do 1939 roku. Wydatki na naukę były ogromne, trzeba było opłacać mieszkanie i naukę. Raz w tygodniu mama przywoziła prowiant, który gospodyni nam przygotowywała. Wygód nie było, ale uczyliśmy się dobrze i nikt nie repetował. Najstarszy brat zdał maturę w 1927 roku potem ukończył Uniwersytet w Wilnie na Wydziale Humanistycznym, w 1932 roku. Siostra ukończyła Seminarium Nauczycielskie i została nauczycielką, brat ukończył 4 klasy Gimnazjum, ja ukończyłam Szkołę Gospodarczą w Zakonie Sióstr Benedyktynok. Najmłodszy brat zdał maturę w 1938 roku. Na kształcenie dzieci szły całe dochody z gospodarstwa. Ratawał nas dochód z sadu i duża pasieka z której sprzedawaliśmy co roku po kilkaset kilogramów miodu. Gdy siostra zaczęła pracować pomagała rodzeństwu. Toteż uchodziliśmy za ludzi zamożnych, a nawet sąsiedzi perzyczali u nas pieniądze. W czasie wojny na gospodarce był starszy brat i ja z siostrą. Mama mało pomagała,

gdyż była chora na nogi i chodzenie sprawiało jej trudność.

Szczęśliwie przeżyliśmy koszmar okresu wojennego. W początku lipca 1944r. przyszła Armia Czerwona. Szybko została zorganizowana władza cywilna i od razu zaczęły się szyskany. Wszędzie wisiały transparenty "Wszystko dla <sup>ludu</sup>" itp. Razu pewnego przyjechał do nas jakiś oficer z miasteczka, widocznie był głodny. Po sutym poczęstunku powiedział "Wy jesteście nawet porządnyimi ludźmi, ale mimo to będziecie wysiedleni". Nie sprzecyzował tego dokładnie, a my zrozumieliśmy że wysiedleni na Sybir i bardzo z tego powodu rozpaczaliśmy. Tymbardziej, że w okolicy zaczęto aresztować. Jesienią brata zabrali do pracy przymusowej w miasteczku. Pracował bezpłatnie jeszcze musiał jedzenie brać z domu. Dwaj bracia byli na wojnie. Zostałam na całej gospodarce z siostrą. Pracowałyśmy po 18 godzin, bo oprócz obrządku musiałyśmy młócić zboże. Miałyśmy tylko jednego konia, bo drugiego zabralo wojsko. Mama poganiała konia w kieracie, ja po małej garstce podawałam do młecarni, a siostra odbierała słonę. W nocy musiałyśmy czyścić na wialni, by nazajutrz odwieźć zboże na kontyngent. Musieliśmy oddawać zboże, ziemniaki, mięso/żywa/ i nawet jajka. Ile z tym było udręki te nikt nie może sobie wyobrazić. Co rusz przychodzili aktywiści i szukali zboża czy nie mamy gdzieś schowanego. Razu pewnego zimą brat przywiózł rosyjską gazetę w której była wzmianka "że Polacy będą wysiedleni na zachód, całe szczęście że nie na wschód. Wojna jeszcze trwała więc sobie nikt nie wyobrażał tych wysiedleń. My byliśmy tak znaltretowani tą sytuacją, że było nam już całkiem obojętne kiedy i dokąd. Wigilia 1944 roku była najsmutniejszą w całym moim życiu. Byłam tylko ja z siostrą i mamą. Brata nie zwolnili specjalnie, żeby zaakcentować swój wrogi stosunek do Polaków i obrzędów religijnych wogóle. Przygotowaliśmy skromną kolację, ale prawie nic nie jedliśmy. Mama płakała i chyba miała przeczucie, gdy powiedziała, że jest to ostatnia wigilia w jej życiu. Usiłowaliśmy zaśpiewać z siostrą kolędę, ale po kilku słowach zaczęłyśmy płakać. Do kościoła nie pojechałyśmy, bo byłyśmy tak przenęcone, że nie miałyśmy siły. Święta też przesiedziałyśmy w domu. Kilku chłopów przychodziło złożyć życzenia, ale właściwie chcieli się dowiedzieć czy im czegoś nie zostawimy w czasie wyjazdu. Po nowym roku w nasze okolice przyjechali Białorusini z okolic Hajnówki i zajmowali polskie gospodarstwa. Uważali się za Białorusinów, którzy chociaż między sobą rozmawiali po polsku. U nas zamieszkała jedna rodzina w dwóch pokojach - w kuchni gotowaliśmy wspólnie. Oni czuli się już właścicielami i kradli wszystko co im wpadło w ręce, a pozatym bez przerwy nas szykanowali wyzywając

ed kułaków, polskiej szlachty i kwriepiców. Ich rodzina była bardzo liczna - mieli nad nami przewagę. W naszej wiosce mieszkał deputat do Rady Najwyższej Związku Radzieckiego - Bziemian Sawczuk. Była to osobistość z którą wszyscy się liczyli. Ponieważ w przeszłości dwa razy uratowaliśmy mu życie, gdyż miał być rozstrzelany, on peczul się do obowiązków ~~do~~ zrewanżowania się. Toteż na naszą prośbę on tych Białorusinów ostrzegł, że mogą być usunięci w inne okolice, czego się oni ogromnie bali, gdyż nasze gospodarstwo bardzo im się podobało. Toteż zmienili swoje postępowanie.

Srodowisko Polaków było bardzo podekscytowane sprawą wyjazdu. Byli zwolennicy, ale byli i tacy, którzy twierdzili, że transporty skierują na wschód. Miejscowe władze starały się zorganizować kołchoz i potrzebowały pilnie bazy tak jak zabudowań i inwentarza. Taką bazą miały być gospodarstwa Polaków. My staraliśmy się sprzedać co się dało, ale chłopcy celowe nie chcieli kupować, gdyż oczekiwali że im zostawimy za darmo. Największy popyt miało zboże, które miało wysoką cenę. Rubli rosyjskich mieliśmy bardzo duże ale nie wiedzieliśmy czy w Polsce zostaną wymienione. Później okazało się, że były bardzo przydatne.

Nadeszła wiosna 1945 roku, a z nią roboty w polu. Pola nie obsiewaliśmy, gdyż przydzielono je do kołchozu. Musieliśmy dać tylko nasiona. My mieliśmy do dyspozycji sad, trochę łąki i ogród warzywny. Ale i teraz musieliśmy pracować niewiele.

Między naszym gospodarstwem a gospodarstwem sąsiada rosła olbrzymia strzelista topola na wierzchołku której od niepamiętnych czasów było gniazdo bocianów. Nasze bociany były chyba jakąś bocianią starszyzną, gdyż tu corocznie odbywały się sejmiki bocianie przed odlotem. Trwały kilka dni, a my obserwowaliśmy ewolucje które wyczyniały przed odlotem. W tym roku Białorusini przesiedleni z Polski ścieli topolę na opał ku zgorzeniu całej wsi, gdyż bociany otaczano zabobennym szacunkiem. Wiosną 1945 roku bociany przyleciały i ku swojej rozpaczliwie stwierdziły brak gniazda. Siedziały na pobliskich drzewach i rozpaczliwie klekotały. Nowego gniazda nie rozpoczęły - odleciały w nieznane. My bardzo im współczuliśmy, ale nie mogliśmy pomóc, a nasza mama uznała to za zły omen i porównywała nas do tych bocianów. Nam też redowe gniazdo zburzone i musieliśmy jechać w nieznane.

Razu pewnego przyszedł do nas wspomniany Dziemian Sawczuk, był bardzo uroczy i przejęty swoją rolą. Potem wygłosił patetyczne przemówienie: " Nasze rachunki już zostały wyrównane, bronilem was ile mogłem w wielu wypadkach, a teraz radzę wam że trzeba wyjeżdżać, gdyż zwłoka działa na waszą niekorzyść". W duchu przyznaliśmy mu rację. W miasteczku powstało biuro ewidencji Polaków zgłaszających się do wyjazdu. I o dziwo w biurze pracowali wyłącznie Polacy i można było rozmawiać po polsku. Bez trudu zaakceptowaliśmy formalności i czekaliśmy na transport, szykując wszystko do drogi. Nasuszyliśmy worek sucharów pozatym worek kaszy jaglanej, mąki, ogromny słojej miodu i mięso wędzone. Ponieważ meble nasze się nie rozkładały wzięliśmy tylko kanapę 10 krzesła fotel i stół resztę sprzedaliśmy lub rozdaliśmy chłopom. Na gospodarce zostawiliśmy młocarnię z kieratem, sieczkarnię, wialnię, żniwiarkę i wszystkie sianie na które nie było chętnych oraz stare bryczki tzw. kałamaszki, które były zabytkami i nie nadawały się do użytku.

W dzień odjazdu Dziemian Sawczyk wyznaczył podwoły ze wsi a sam chodził i pilnował żeby chłopie czego nie skradli. Kazał wszystko zabierać nawet deski, które w wagonie <sup>nie</sup>przeszkadzały. Na podwórzu zgromadziła się cała ludność wsi jedni z ciekawości inni żeby coś wziąć.

Na stację ruszyła cała kawalkada wozów. My jechałyśmy własnym wozem. Mama była tak mileżąca i przybita, że nie miałyśmy odwagi do niej się odzywać. Pozatym była tak osłabiona, że nie mogła się ruszać. Chłopi wzięli ją na ręce i posadzili ~~ją~~ na wozie. Nawet chłopie byli przejęci ważnością chwili i pocieszali nas jak mogli. Ponieważ

nasz transport był pierwszym na stację przybyło dużo znajomych z prestej ciekawości, ale pomagali nam bardzo uczynnie. Ponieważ jeszcze nie było wagonów chłopie nie odjeżdżali do domów czekając całą noc. Mama dała im wieprzka, którego oni zabili i piekli na ogniskach, które rozniecili na placu. Zapijając suto bimbrem. Śpiewali swoje pijackie pieśni. W nocy wyglądało to jak opisał Sienkiewicz w "Ogniem i mieczem" gdy była nowa o sieczy kozackiej. Rano podstawiono wagony. My z wdzięcznością Dziemianowi dostaliśmy dwa wagony. W jednym załadowaliśmy inwentarz /4 krowy, 3 konie i 2 świnie/. W drugim wagonie mieliśmy meble, żywność oraz jechaliśmy sami z nami jechała siostra ze szwagrem i dwoje dzieci.

W licznych gronie było nam o wiele różniej. Na piecyku gotowaliśmy a mleka mieliśmy tyle, że oddawaliśmy innym którzy krow nie mieli. Z Klecka wyruszyliśmy dnia 4 sierpnia 1945 roku. Jeden dzień staliśmy w Baranowiczach i potem przez Brześć na teren Polski. Formalności graniczne były pobieżne, liczone tylko wagony i sprawdzano nazwiska

osób. Karty ewakuacyjne były bez fotografii to i tak nie mogli ustalić tożsamości. W Polsce jechaliśmy na Poznań, nieraz staliśmy w miejscu całą dobę. Po 10 dniach jazdy wysadzono nas w Świebodzinie. Kazano nam się wyładować na rampie i wagony odjechały. Pogoda się popsuka, spadł mały deszczyk i było zimno. Wszystko macko pod gołym niebem. W pobliżu był PUR, gdzie zarejestrowaliśmy się i kazano nam szukać gospodarstwa na własną rękę. Zajeliśmy tymczasowo mały domek chałupniczy w Chociulach w najbliższej wsi od Świebodzina. - 2 małe pokoiki. Mama gdy tam przyszła zafamata rękę. Przemarżała i zasnęła na rampie i zachorowała czuła się bardzo źle. Napaliliśmy w piecu i posprzątaaliśmy mieszkanie. Za kilka dni szwagier znalazł w sąsiedniej wsi taki duże gospodarstwo dokąd przeprowadziliśmy się. Budynki były duże, dos. kilku pokojowy i duże podwórze. Tu rozłokowaliśmy się wygodnie. Mama coraz bardziej podurzała chociaż tu mieliśmy już warunki dobre. Sprowadziliśmy ze Świebodzina lekarza Niemca, ale nie było żadnych leków to też mama zmarła. Pochowaliśmy na cmentarzu parafialnym w Oleboku, potem exhumowaliśmy i pochowaliśmy na cmentarzu Św. Michała w Goleźnie. Teraz cała się rodzina rozpadła. Brat się ożenił, siostra wyszła za mąż za znajomego z naszych stron i przenieśli się pod Warszawę, szwagier zajął inne gospodarstwo.

Nasze gospodarstwo nie miało maszyn ani mebli, gdyż wszystko zostało albo wyszabrowane albo zabrane przez Rosjan. Specjalne oddziały wojskowe jeździły po wioskach i zabierały wszystko co się dało zabrać. I teraz strasznie nam się przydały rosyjskie pieniądze. Rosjanie jechali do Rosji i chętnie wszystko sprzedawali za ruble. Kupiliśmy u rich 2 silniki elektryczne, żniwiarkę, siewczarnię i trochę mebli. Zboże zebraliśmy z pola a łąki kosiliśmy gdzie chcieliśmy. Ziemia tu była płaszczysta, ale zbiory były średnie. We wsi było najwięcej osadników z Wileńskiego, z którymi utrzymywaliśmy dobre stosunki, ale zbytnej serdeczności nie było. W wiosce była wielka bieda z zaopatrzeniem. Ludzie sprzedawali wszystko żeby się wyżywić. My byliśmy nie tylko samowystarczali, ale nawet sprzedawaliśmy masło, ser i jajka. Ze zboża pędziliśmy bimber, który sprzedawaliśmy Rosjanom lub wymienialiśmy na różne rzeczy. Powodziło się nam dobrze, chociaż psychicznie czuliśmy wokół siebie obcość. wieś miała zabudowę zwartą, kontakt między sąsiadami był ułatwiony, ale pola były daleko, nie było pastwisk i przerażały piaski na podwórzu, na drogach i polach.

Na wiosnę 1946 roku zaczęły przybywać nowe transporty, gospodarstw nowych już nie było. Zaczęły się trudności z osiedleniem. Szwagier został wójtem gminy Ołobok, siostra została nauczycielką i pracowała w Ołoboku, ja wyszłam zamąż za naszego sąsiada ze wschodu, który osiedlił się koło Gniezna. Mieliśmy duże gospodarstwo - 40 ha. Ziemia była dobra, toteż gospodarstwo prosperowało dobrze, mieliśmy 4 konie, 5 krów i duże świnie. Ale wkrótce zaczęła organizować się spółdzielnia produkcyjna na wzór kolchozów. My nauczeni doświadczeniem ze wschodu absolutnie nie chcieliśmy do niej wstąpić, i o zgrozę i tutaj zakwalifikowano nas do kulaków. ~~Kulaków~~ <sup>Chociaż</sup> spółdzielnia się rozpadła ale zabrano nam duże ziemi i część maszyn. Stopniowo z roku na rok gospodarstwo się zmniejszało do 10 ha 1 konia, 4 krów i około 20 świnie. Byliśmy zmuszeni do kontaktowania 1 ha buraków cukrowych, gdyż kiszonką karmiliśmy krowy. Do pielęgnacji upraw musieliśmy najmować robotników, których ja musiałam 5 razy karmić. Naszykowanie jeżozonia, oraz praca razem z nimi doprowadzała mnie do kłańcowego wyczerpania. Miałam jedną córkę, będąc w ciąży z drugim dzieckiem poroniłam z powodu nadmiernego wysiłku fizycznego. Córka skończyła szkołę podstawową, potem liceum w Gnieźnie i dwa - letnią, szkołę pomaturalną w Poznaniu i tam zaczęła pracować. Mieszkanie spółdzielcze dostała po kilku latach. My już postarzeliśmy i gospodarowanie sprawiało nam coraz większe kłopoty. W końcu 1979 roku gospodarstwo sprzedaliśmy. Kilka samochodów różnych rzeczy jeszcze ze wschodu oddaliśmy do Muzeum Rolnictwa w Szreniawie koło Poznania. Z którego mamy szereg podziękowań. Pieniądze ze sprzedaży gospodarstwa były zablokowane w banku, potem straciły na wartości z powodu dewaluacji. I tak plan całego naszego życia został zmarnowany. Córka wyszła zamąż i ma dwoje dzieci mieszka naprawdę osobno, ale stale nas odwiedza. Utrzymujemy się ze skromnej renty, która w zupełności nam wystarcza, gdyż wymagania mamy skromne. Mięsa prawie nie jemy. Mieszkamy w bloku w którym mieszkają młode małżeństwa z dziećmi. Stosunków z sąsiadami nie utrzymujemy żadnych, chociaż oni nam okazują duże życzliwość i uprzejmość. Przez cały czas od wojny mieszkaliśmy wśród poznaniaków i chociaż spotykaliśmy się na co dzień nie mogliśmy przyswoić miejscowej gwary.

My rozmawiamy literacko bez żadnych naleciałości wschodnich, tak też tożsawia córka. Na wsi stosunki z miejscowymi sąsiadami układały się poprawnie. Sąsiedzi byli bardzo życzliwi i chociaż sami byli przepracowani często spieszyli z pomocą. Nigdy nie pokłóciliśmy się z nikim, chociaż czasem robiliśmy mimo woli jakieś szkody - oni nam a my im.

I tak bilans niewolniczej pracy mojej i męża wypadł na zero, gdyby nie renta nie mieliśmy żadnych środków do życia. Wiele z naszych sąsiadów repatriantów uległo deprawacji. Pozbawieni oddziaływania rodziny i zwartych kolektywów sąsiedzkich popadło w nałóg pijanstwa i stosunkowo w młodym wieku pousierało, chociaż ich przodkowie oznaczali się długowiecznością. Nowe pokolenie wychowane w nowym środowisku nie odczuwa nostalgii do stron w których żyli i umierali ich przodkowie.

W mojej miejscowości na wschodzie zmieniła się całkiem topografia. Rozproszone gospodarstwa zgromadzone w zwartą zabudowę, a pole uprawia się systemem kołchozowym. Brat mój korespondował z naszymi sąsiadami Sieterusiniami, ale już od dawna wszelkie kontakty się urwały. Ani ja ani nikt z mojej rodziny tam nie jeździł.





Dom w której mieszkała rodzina Księżewiczów.  
ul. Korzeniowszczyzna, gm. Hryciewice, pow.  
Mieśnice, woj. Nowogródzkie.  
Jadwiga Śudnik z domu Księżewiczówna.

© ARCHIWUM WISCHONIE

II/1824/5